DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 1 czerwca, 1888 r. Nr. 16.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

Rohritz zwraca uwagę przyjaciela na te wołania i rotmistrz z zręcznością dwudziestoletniego młodzieńca zeskakuje z kozła, spiesząc tamtym na pomoc, powierza Stellę i lejce rękom i opiece Rohritza. Zaczyna się gwałtowna sprzeczka, żywa wymiana najróżnorodniejszych epitetów: uparty Karyntczyk nie chce oddać lejcy, czem zniecierpliwiony rotmistrz zrzuca go z kozła i energicznym ruchem wpycha do suchego — na szczęście — rowu. Katty z przestrachu dostaje nerwowego jakiegoś ataku; baronowa zastanawia się nad etymologią pewnego wyrazu, użytego w sprzeczce rotmistrza ze stangretem, generał z rezygnacyą wzdycha półgłosem, że obiad, na siódmą wydany, a podany później straci dużo na dobroci i smaku; wesołe oczki Fredzia spoglądają po wszystkich z ożywieniem, a Stazya, widząc, że nikt na nią nie zwraca uwagi, zachowuje się stosunkowo dosyć spokojnie. Jakby na dobitek wszystkiego złego, jeden z koni układa się jak najspokojniej wzdłuż szosy.

— Będzie gorzej, niż sądziłem, odzywa się zakłopotany Leskjewitz, który dotąd zajęty był jedynie pijanym stangretem; nie możemy jechać dalej, bo zmęczone konie nie uciągną dalej tej arki Noego ze wszystkiemi stworzeniami. Pozostaje nam jedynie zmienić konie!

— Proszę cię, Edgarze, wyprząż z łaski swej kuce od wolantu, bo innej rady nie ma

Dokonano wkrótce zamiany; młode, rącze koniki w świecących ozdobami szorach zaprzężono do ciężkiej „wiktoryi“ — na wpół nieżywe fornalki do lekkiego faetonu. Tymczasem zciemniło się zupełnie i deszcz coraz mocniej padać zaczynał. Fredzia, duszącego się prawie od szalów i chustek, w które go troskliwa Katty zapakowała, sadzają znów na dawnem miejscu; rotmistrz siada na koźle karety, zacina konie, które dosyć żwawo z miejsca ruszają.

— Jeżeli możesz, dojedź do Wolfsegg, najbliższej stąd wsi, do tamtejszej oberży, przyślę po was inne konie, a teraz szczęśliwej drogi i do prędkiego zobaczenia, woła na odjezdnem do Rohritza.

— Tiens! odzywa się naraz Stazya, w takim razie Rohritz i Stella będą znów z sobą *tête à tête.*

— I cóż z tego? odpowiada rozdraźniona Katty, przecież jej nie ugryzie.

— Och! nie, ale ludzie mogliby z tego najrozmaitsze wyprowadzać wnioski.

— Ach! z czego — chyba nie z tej jednej godziny, którą z sobą spędzą.

— Hm! hm! Zobaczymy, czy będą punktualni, czy to czasem dłużej nie potrwa, śmieje się złośliwa stara panna.

— Jesteś nieznośna z twojemi wnioskami i podejrzeniami, odpiera Katty gniewnie.

— Zobaczymy, powtarza Stazya uparcie, zobaczymy!

ROZDZIAŁ XIV.

— Czy tylko pani nie chłodno? pyta Rohritz swą towarzyszkę, przerywając pierwszy dosyć długie milczenie.

— Och! nie, odpowiada Stella, owijając się z zadowoleniem dosyć już zniszczonym, dwudziestofrankowym *waterproofem.* Jest mi bardzo ciepło, co panu jedynie zawdzięczam, bo gdyby nie pańska przepowiednia, zostawiłabym była najniezawodniej swoję *cache-misère* w domu — dodaje, naciągając mocniej kapturek na kształtną blond główkę.

— Najlepszy dowód, że wyszydzony mój barometr czasem bardzo przydać się może.

— Zapewne, chociaż żałowałabym bardzo, gdyby dla tych przepowiedni dzisiajsza wycieczka do skutku przyjść nie miała, bo całość oprócz ostatniego aktu bardzo dobrze wypadła.

— Czy pani na seryo tak mówisz? pyta Rohritz zdziwiony.

— Dla czegoż powątpiewasz o tem, baronie?

— Dla tego, że pani miałabyś najmniej powodów do wygłoszenia podobnego zdania. Najpierw skaleczyłaś sobie pani nóżkę, następnie zniszczyłaś nową, bardzo ładną sukienkę, a obecnie, jeżeli deszcz tak dłużej padać będzie, zmokniemy do suchej nitki.

— To nic nie szkodzi, woła, wychylając białą, zmoczoną twarzyczkę z pod brązowego kapturka. Cóż z tego, że przemoknę trochę? mówi, śmiejąc się wesoło.

On milczy. Co za wesołe, swobodne usposobienie,

godne zazdrości — myśli w duchu — przytem wygląda ślicznie, pomimo wcale niekorzystnego ubrania.

Żaden silniejszy powiew wiatru nie rozpędza ciemnych chmur na niebie; deszcz pada coraz mocniej. Droga prowadzi między dwoma wysokiemi pagórkami, okrytemi zielenią; słodka woń drzew i ziół, zwilżonych rosą, rozszerza się w powietrzu, cisza panuje dokoła, przerywana szumem strumyka i szelestem kropli deszczu, opadającego z liści.

— Jaki spokój dokoła — ach! jak z tem dobrze i błogo — odzywa się dźwięczny głosik Stelli, w którym przebija jakaś rzewna, do serca przemawiająca nuta.

— Tak jest, bardzo dobrze, potwierdza Rohritz szczerze; kiedy jednakże staniemy w Wolfsegg, o tem chyba wiedzą bogowie — dodaje, rzucając podejrzliwe wejrzenie na ledwo wlokące nogami konie.

Czy mu w gruncie rzeczy tak bardzo na tem zależy, żeby prędko stanąć u celu? Prawdę powiedziawszy — nie. Dziwnie mu dobrze z tą samotnością jedynie w towarzystwie ładnego, złotowłosego dziewczęcia; czuje się nad wyraz zadowolonym z tego *tête à tête* wśród ciemnej nocy i gwałtownej ulewy. Od czasu, kiedy tak gorąco dziękowała za oddanie bransoletki, dziwnie się zrobiła chłodną i nieprzystępną; dawno już nie widział jej tak swobodnej i ożywionej, jak dzisiaj. Opanowuje go niepohamowana chęć zbadania jej niewinnego serduszka, dowiedzenia się szczegółów przeszłości; jednakże w sposób, aby się jego zamiarów domyślić nie mogła.

— Bardzo nam z tem dobrze! powtarza raz jeszcze.

Zmęczone konie coraz wolniej posuwają nogami i Rohritz musi je powstrzymywać całą siłą od zupełnego pochylenia głowy, do czego skłania je ochota zakosztowania świeżej, zroszonej trawy, rosnącej po obudwu stronach drogi.

— Co za rozkosz powozić temi zdechlakami! woła zniecierpliwiony; wystawiam sobie, że taniec z kulawą tancerką zupełnie temu wyrównywa; o powyższej przyjemności jedynie jednak ze słyszenia i z widzenia sąd wydać mogę.

— Czyś pan nigdy nie tańczył? — pyta Stella z zajęciem.

— Nie — od czasów uniwersyteckich nie tańczyłem wcale. A pani, czy często na balach bywałaś?

— W całem swojem życiu byłam tylko raz jeden — w Wenecyi, u księżnej Giovanelli. Po pierwszym walcu zrobiło mi się niedobrze, przestałam więc tańczyć, chcąc uniknąć omdlenia w objęciach mego dansera. Cała przyjemność balu ograniczyła się dla mnie na półgodzinnem siedzeniu wśród grona starszych pań, przytem musiałam zjeść dużo lodów, żeby przyjść trochę do siebie. O północy wróciłam do domu, gdzie biedny chory mój ojciec wyczekiwał z niecierpliwością relacyi odniesionych tryumfów. Biedny ojczulek! tylko się pan nie śmiej z jego rozczarowania! Następnego dnia wszystkie młode panny z hotelu Britannia ubolewały nade mną, że, nie mając dansera do kotyliona, opuściłam tak wcześnie salę balową. Opowiadały mi o odniesionych tryumfach, o zranionych sercach, dopytując o szczegóły moich sukcesów. Ja zaś ze wstydem spuściłam oczy, nie mając im nic do powiedzenia — i dziś po trzech latach nie umiałabym jeszcze odpowiedzieć na podobne pytanie.

— Więc pani nigdy nie tańczyłaś? pyta Rohritz zamyślony.

Nie umie wypowiedzieć, dla czego ten szczegół zwiększył jeszcze jego sympatyą. Dla niego Stella jest owocem jeszcze niedojrzałym, niedotkniętym niczyją dłonią, rosnącym w ukryciu między zielonemi liśćmi. Świeży ten owoc nęci go nad wyraz, opanowuje go niepohamowana chęć wyciągnięcia ręki, aby go zerwać dla siebie, ale nie — to myśl szalona, niedorzeczna; on prawie starzec — ona dziecko jeszcze — istne niepodobieństwo, a jednak....

Oboje zatopieni w myślach, nie zważają na zwiększające się ciemności, na gęste chmury, zebrane na niebie. Droga prowadzi teraz wzdłuż szumiącej Sawy, kałuże na szosie są coraz głębsze; gęste błoto, czepiając się kół, opryskuje Stellę, ale ona nie zważa na to.

— Powyższe pani zapewnienie było trochę śmiałe, odzywa się Rohritz, pochylony ku Stelli.

— Za śmiałe! woła zmieszana, bo wyrażenie to znaczy w jej oczach coś wyzywającego, niestosownego, jednem słowem coś bardzo złego.

— Tak jest, odpowiada, uśmiechając się leciutko z jej pomieszania: utrzymywałaś pani rzecz, która mnie się wydaje wprost niemożebną, a mianowicie, że dotąd nie wywarłaś pani na nikim....

Zatrzymuje się przy tych słowach.

W tej chwili błyskawica krzyżuje się na niebie, przy jej świetle widać szumiącą i pieniącą się Sawę, wkrótce światło gaśnie, głuchy grzmot wstrząsa powietrzem, burza szaleje na dobre.

Konie stawają wystraszone, jeden z nich wywraca się, zrywa postronki i powóz przejeżdża przez niego.

— Skończyła się nasza jazda! wykrzykuje Rohritz, zeskakując z kozła, ażeby zbadać odniesioną szkodę.

Dalsze jechanie jest wprost niemożliwe; po usilnych staraniach udaje mu się nareszcie zmusić leżącego konia do powstania; wyprzęga na wpół żywe stworzenie i przywięzuje do płotu, bo na szczęście wypadek ten spotkał ich w pobliżu jakiejś odosobnionej chaty, otoczonej małym ogródkiem. Dom ten musiał być niezamieszkały, gdyż na wszelkie pukania do okien nie otrzymuje odpowiedzi; Rohritz, nie tracąc czasu, rozpościera derę we framudze od drzwi, chcąc urządzić dla Stelli chwilowe przed ulewnym deszczem schronienie.

— Pozwól mi, pani, zesadzić się z kozła, mówi, przystępując do niej; muszę powóz usunąć z drogi, a pani tymczasem zajmij to niewygodne miejsce. Proszę się więcej przysunąć do ściany, ot! tak — w takim razie będziesz pani choć na chwilę pod dachem.

— O zmoknięcie najmniej mi nie chodzi, zapewnia go Stella, ale nie możemy tu leżeć noc całą w oczekiwaniu, aż który z przejeżdżających wieśniaków nie wyłowi nas z tego błota.

— Byłoby wszystko dobrze, gdybyś pani iść mogła. Niedaleko stąd jest mała karczemka, gdzieby z łatwością parę koni dostać można. Czy nie byłabyś pani w stanie przejść ten kawałeczek?

— Niestety! noga boli mnie bardzo, zresztą nie posiadam drugiego bucika, bo ten spoczywa w kieszeni wuja mego Leskjewitza.

— Fatalny zbieg okoliczności — cóż robić?

— Byłoby najlepiej, gdybyś pan doszedł sam do tej oberży, proponuje Stella.

— W takim razie musiałbym tu panią zostawić samę, odpowiada, ruszając ramionami.

— Niczego się nie boję, odpowiada z największym spokojem, jaki dać może tylko zupełne niedoświadczenie.

— Ale ja się o panią boję, woła z ożywieniem Rohritz; sama myśl, że mam tu panią zostawić, jest dla mnie okropną — jeszcze do tego w niedzielę, kiedy cała prowincya jest pijana. A gdyby przypadkiem przechodził tu jeden z tych nietrzeźwych, to cóż wtedy?

— Prawdopodobnie nikt tędy przechodzić nie będzie, ale wybierz się pan już nareszcie, bo trzebaby stąd wyjechać jak najprędzej.

— Ma racyą, myśli Rohritz i zabiera się do odejścia. Uszedł już kilka kroków, ale wraca znowu, zdejmuje nieprzemakalny gruby płaszcz z ramion i okrywa nim Stellę. Odszedł nareszcie. Jak też wolno wśród nocy płynie czas na oczekiwaniu. Deszcz leje wciąż, jak z cebra, Sawa szumi, zresztą niczem nieprzerwana cisza. Stella ogląda się za końmi; jeden z nich leży na środku drogi w pozie, jaką zwykle nadają na obrazach koniom, zabitym w bitwie, drugi oskubuje łakomie trawę, rosnącą pod płotem. Stella wyciąga zegarek — światło błyskawicy pada na białą tarczę; czy zegarek stanął, czy też to rzeczywiście dopiero upłynął kwadrans od jego odejścia? Nagle turkot zbli-

żającego się powozu przerywa panującą ciszę; Stella, nadsłuchując uważnie, rozróżnia jakąś ożywioną rozmowę. Czyżby to Rohritz z ludźmi nadchodził? nie, to obce jakieś pomieszane głosy. W małym powoziku siedzi kilku pijanych Karyntczyków, ochrypłemi głosami śpiewając jakąś hulacką piosnkę. Czerwone, błyskawiczne światło oświeca tę grupę; podchmielony stangret całą siłą okłada małego konika, który z rozwianą grzywą, rozszerzonemi nozdrzami galopuje po szosie.

Serce Stelli bije gwałtownie, cały zapas odwagi opuszcza ją w jednej chwili. Kilka minut upłynęło na trwożnem oczekiwaniu; znowu słychać nadchodzące kroki z przeciwnej strony, niepewny, ciężki chód jakiegoś pijaka. Wstrzymując oddech, uważnie nadsłuchuje w ciemności... czyżby to znów miało być złudzenie? — nie! teraz już nie myli się, rozpoznając ten prędki, elastyczny chód męzki.

— Baronie Rohritz! woła, o ile może najgłośniej.

Nadchodzący mężczyzna przyspiesza kroku; za chwilę Rohritz staje przed wystraszoną Stellą.

— Na miłość boską, cóż się stało? pyta gorączkowo.

— Nic, nic się nie stało! Jakiś pijany człowiek przechodził tędy i odwaga opuściła mnie zupełnie; gdyby nie nadejście pana, byłabym się pewno z przestrachu rzuciła do Sawy. Ale teraz już dobrze... pan powróciłeś. Czy kto przyjedzie po nas?

— Nie mogłem koni dostać, niestety! wziąłem tylko z sobą jakiegoś chłopaka, który zabierze rzeczy i odprowadzi konie. Początkowo miałem zamiar wsadzić panią na jednego z tych zdechlaków, ale po namyśle powziąłem przekonanie, że nie uniosłby nawet tak nieznacznego ciężaru; w pierwszej kałuży potknąłby się napewno i wspólnie leżelibyście w błocie. Pomimo najszczerszej chęci nie mogę dać innej pomocy, musisz więc pani sprobować przejść ten kawałeczek drogi; oto trzewik właścicielki oberży, który dla pani przyniosłem.

Stella obuwa swą małą obandażowaną nóżkę mocnym, skórzanym trzewikiem; Rohritz każe najętemu chłopakowi zabrać przemokłe rzeczy i zaprowadzić konie do wspomnianej oberży. Rozynanty decydują się po długich nawoływaniach ruszyć z miejsca i iść za ochrypłym od krzyku przewodnikiem.

Oparta na ramieniu Rohritza Stella usiłuje iść naprzód, pomimo dotkliwych cierpień skaleczonej nogi; chód jej jednakże coraz wolniejszy w końcu ustaje zupełnie, nie mogąc powstrzymać bolesnego okrzyku:

— Pozwól mi pan wypocząć chwileczkę, prosi półgłosem, zawstydzona tą bezsilnością, którą każda inna na jej miejscu kobieta z pewnością kokietowaćby chciała.

— Tak nie zajdziemy, odzywa się Rohritz stanowczo. Obejmij pani moję szyję, mówi, pochylając się nad nią, tylko mocno i proszę mnie uważać za swoję lektykę.

— Ależ panie baronie!...

— Żadnego oporu — proszę, a raczej rozkazuję tym razem, mówi przyjaźnie, lecz nie bez pewnej stanowczości w głosie.

Machinalnie prawie spełnia Stella jego życzenie; ramię Rohritza obejmuje ją silnie, chód jego pewny nie zdradza najmniejszego znużenia. Z początku przykre uczucie przejmuje Stellę, powoli jednak ustępuje zupełnie. Myśli jej wracają daleko, daleko do czasu, kiedy, jako mała dziewczynka, kryła się w fałdach huzarskiego płaszcza ukochanego ojca. Zdaje jej się, że wróciły te szczęśliwe dla niej chwile, że się przyciska do kochającego ją serca, które, niestety! tak dawno bić przestało. Tak jej błogo, tak nad wyraz w tem ukryciu przyjemnie, a czas płynie szybko... za szybko może....

— Jesteśmy u celu, odzywa się Rohritz mocno ochrypłym głosem, stawiając Stellę na progu.

Ona otwiera oczy, wśród ciemności błyszczą czerwono oświetlone okna oberży.

— Dziękuję, mówi nieśmiałym, przyciszonym głosem, nie patrząc wcale na niego. On milczy. W obszernym pokoju, do którego wchodzą, nie ma nikogo. Wesoły ogień, palący się na kominku, rzuca fantastyczne cienie na biało pomalowane ściany. Silna woń przypalonego jałowcu, pomieszana z zapachem starego suszonego sera i tabaki, tworzy nieprzyjemną atmosferę. Na pułkach oszklonej szafy stoją rzędem fajansowe talerze i filiżanki, grube zielone szklanki i kieliszki, a na górnej półce, w należytem odosobnieniu, mirtowy zeschnięty wieniec, sięgający prawdopodobnie dnia ślubu właścicielki tych wspaniałości. Po obudwu stronach szafy wiszą olejodruki, przedstawiające cesarską parę w bardzo młodym wieku. Na środku pokoju przysunięty trochę do kominka stoi mały, czysto nakryty stolik. Niebiesko pomalowane talerze i zielone szklanki, jak i w czarnej oprawie noże i widelce sprawiają na naszych podróżnych bardzo miłe wrażenie. Otyła gosposia, przypominająca snopek słomy, w środku mocno związany, ofiarowuje całą swą garderobę na usługi Stelli.

— Czy nie możemy zaraz jechać dalej? pyta Stella trochę zmieszana.

Niestety! nie. Przed chwilą poleciłem posłańcowi wystarać się dla nas o konie w najbliższej stąd wsi; przed upływem godziny prawdopodobnie jednak nie wróci. Przytem jeszcze jedna nieprzyjemność panią czeka, a mianowicie, że z powrotem o wiele dalszą musimy obrać drogę. Zerwanie mostu na Sawie przerwało chwilowo komunikacyą ze wszystkiemi bliższemi drogami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIE MA DROGI.

Pracowała dłoń matczyna,
Ojciec w skałę kuł toporem,
By przez wyłom ten dla syna
Stanął cały świat otworem.

Dzisiaj oni pochyleni
Stoją smutni; wzrok niebogi
Łzami zaszedł, twarz się mieni,
Dla jej syna nie ma drogi....

Przeszłość w gruzy się rozpęka,
Starym dachem wicher targa;
Spojrzą naprzód — trud i męka,
Wzrok odwrócą — żal i skarga.

Ale niechby w starym domu
Krzyż za krzyżem kładł się w progi,
Byle dziecko wśród wyłomu
Dopatrzyło jakiejś drogi.

Próżno!.... patrzeć nie pomoże,
Wkoło piętrzą się zawady;
Z góry ani słonko Boże,
Ani księżyc wyjrzy blady....

W dole ścieżki i manowce,
Wśród nich cierni całe stogi.
Nieszczęśliwi z nas wędrowce!....
Nie ma drogi — nie ma drogi!

Marya Kierska.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Skoro zajrzymy we wnętrze kraju, dziwne tam znowu fenomena i obrazy natury się przedstawiają. Co chwila, w środku nawet wyspy, porozrzucane w rozmaitych kierunkach podłużne ściany, które wyraźnie do wybrzeży *Gotlandu* są podobne — zmyte i porozrywane wodą — wyżłobione, podminowane świadczą, że i one niegdyś walczyły z morzem, które je otaczało wieki i od wieków już ustąpiło.

Jeden z najoryginalniejszych takich wewnętrznych krajobrazów znajduje się pomiędzy wsiami *Stenkumla i Heideby*, które bardzo oryginalnie i malowniczo są położone. Tutaj oprócz świadectwa formacyi tych ścian wapiennych, grot i rozwalin, więcej może, niż w innych miejscach, cały oryginalny skład geologiczny tej ziemi o bytności morza nas przekonywa. Cała *Gotlandya*, można powiedzieć, jest jednolitą i nieprzerwaną petryfikacyą morską, złożoną z bimiliardów żyjątek — ryb, muszli, korali i wszelkiego stworzenia morskiego, które w wapieniu i marmurze gotlandzkim skamieniałe, w oryginalną i ciekawą całość się ułożyły.

Mimochodem to tu wspomniawszy, zaznaczam, że w okolicach *Stenkumla* to najwidoczniej uderza w oczy; cała tu rola wapienna z takich skamieniałych okruchów morskich się składa, a legenda ludowa, poetycznie się wyrażając, obrazowe ułożyła baśnie, jakoby morze pomiędzy *Stenkumla i Heideby*, za zaklęciem jakiejś czarodziejki *Najady*, którą „*Panią jeziorną*“ tu nazywają, w jednej chwili na powierzchni tej skamieniało, a ląd ten żyzny i uprawny teraz „*suchą wodą*,“ albo „*zaklętem morzem*,“ dotąd jeszcze jest nazywany.

Indziej znowu na wyspie krajobrazy wewnętrzne tego rodzaju w najdziwaczniejszych postaciach napotykamy. Okolice parafii *Klinteberg* — *Thorsberg*, (Góry boga Thora) imponujące wyżyny parafii *Oestergarn*, przypominają nam malowniczą *Szwajcaryą saską* i jej sławną *Bastaję*. Wszystkie te wyżyny i sterczące na nich iglice wapienne — te początkowe skały podwodne — późniejsze wysepki i wyspy, które najpierwej koralem wzrosły — wszystkie te petryfikaty morskie, wybiegłszy z morza, podnosiły się w górę, nowe z pod toni lądy zapowiadając, tak samo, jak dziś jeszcze, w wybrzeżach sterczące wysepki i wyspy — jak wspominane już *wyspy Karola* — oddzielone od lądu — z lądem się kiedyś złączą — późniejszą, przyszłą ziemię *Gotlandu* zapowiadają. Najciekawszem jednakże zjawiskiem geologicznem *Gotlandyi* są tak zwane *Stenjätter* — *Olbrzymy kamienne*, które słynny *Linéusz* już w roku 1741 badał i obszernie uczonemu światu opisał. Olbrzymie te i oryginalne kamienie, odosobnione, porozrzucane są po całej wyspie i nadają jej charakter zupełnie wyjątkowy, a bardzo ciekawy. Zdaje się tu, że widzisz szare odłamy świątyń, prastare wieżyce, przedhistorycznych grodów i kontyn malownicze ruiny; — to po prostu w dziwacznych formach morzem wypłukane i wyrzeźbione pierwotne iglice skalne, pozostałe słupy i zręby wapienne, które potędze morza się oprzeć zdołały i sterczą teraz osamotnione.

Na wschodniem zwłaszcza wybrzeżu znacznie oddalone od morza, w parafiach *Kyllaj Klintenhamn* i *Klinthamn* znajdują się takie zjawiska na wielką skalę. Cały las niemal łomów, jakoby miasto jakieś przedpotowe w ruinie, najeżone basztami i zwaliskami fantastycznemi, przypomina nam znaną tu niemal wszystkim okolicę *Adersbachu* na Ślązku, albo li niektóre zakątki nadelbiańskiej Szwajcaryi — a podobniejsze być muszą jeszcze do opisywanych nam tego rodzaju widziadeł okolic *Orinoco*. Oryginalne te postacie skalne, dziwne i przejmujące na zwiedzającym robią wrażenie.

I tutaj legend, poezyi a bajek ludowych nie brak, a jedne oryginalniejsze od drugich poetyczną imaginacyą ludu skandynawskiego uosabiają.

Pomiędzy innemi bajkami napotkałem legendę, która nam opowiada o jednej skale *Klinthamnu*, że ona rzeczywiście jest „*żywym kamieniem*“ — duchem zaklętym półboga olbrzyma, — a wiara ludu utrzymuje po dziś dzień, że duch zaklęty porusza skałą, że słychać nocą jakoby wzdychał i niezrozumiałemi głosy przemawiał, burze i kataklizmy *Gotlandu* przepowiadając. Indziej znowu stoi „*zaklęta dziewica*“ — „*panienka biała*,“ która wedle podania nocami jęczy — a jęk ten głośny płaczem i łkaniem się być wydaje — płaczem i łkaniem, któremu sąsiednie skały złowieszczem echem odpowiadają.

W pobliżu *Kyllaj* znowu opowiadają o takiej skale wapiennej, która do starej kontyny zupełnie jest podobną i do złudzenia ruinę naśladuje kościelną, gdyż środek jej wielką pieczarą i kilku małemi grotami jest wydrążony — a ma nawet otwory, mogące poniekąd za bramy i okna być uważane. Opowiadają więc, że to przedwiekowa, prastara świątynia podwodna, którą na dnie morskiem zbudowały skandynawskie *Najady*; a że w samym środku pieczary znajduje się źródło słonej wody, uważają takowe jako rodzaj ołtarza, lub ofiarnika duchów morskich. Lud, wytworzywszy sagę, utrzymuje i wierzy powszechnie, że nocami, a zwłaszcza w czasie burzy, gromadzą się w tej świątyni duchy podwodne, że kapłankami tam są *Najady*, które, źródłem tajemnem do groty z morza wpływając, czynią tu rozhowory, i że słyszano wśród nocy jakoby w grocie się kąpiąc i pluskając hałaśliwie, pieśń zawodziły chorałem.

Takich obrazowych bajeczek o tych kamieniach tu jest bez końca, a chociaż one li tylko w wyobraźni ludowej się wytworzyły — to jak w każdej bajce gminnej, tak i w legendach *gotlandzkich* jest jakiejś prawdy uzasadnienie, które źródło i początek fantazyi usprawiedliwia i wskazać potrafi. *O żywym kamieniu Klinthamnu*, o tym duchu zaklętym, który się niby porusza, wzdycha i mówi, dowiedzionem jest, że wskutek dziwnego położenia i otoczenia, gra świateł i cieni o zachodzie słońca sprawia czasem optyczne złudzenie, jakoby się poruszał i chylił na różne strony.

Kształt skały nadto podobny jest rzeczywiście cokolwiek do olbrzymiej postaci ludzkiej — do jakiegoś widma zagrobowego w białym całunie, co na fantazyą ludu i poetyczne jego marzenia niemało wpłynąć musiało.

Co do głosu tego zaklętego ducha pół-boga, równie jak jęku i płaczu tak zwanej „*Panienki białej*“ równie jak rozhoworów w podmorskiej kontynie *Najadów* w *Kyllaj* i wielu innych kamieni-olbrzymów — dowiedzionem jest, że w niejednej takiej skale słyszeć się dają szumy, świsty i szmery wewnętrzne, gdyż mają w sobie stare wydrążenia, groty i szpary tajemne, przez które wiatr się z trudnością przedziera i przeciąg jest powietrza niezaprzeczony; mają nadto zdroje i źródła wewnętrzne, podziemne, które tworzą się wskutek wciągania wilgoci, jakiem się gąbkowaty wapień odznacza, — stąd gromadzą się wewnątrz większe masy wody, które, bełkocąc i szumiąc, podziemnem nieznanem korytem do morza tajemnie spływają.

Dowiedzionem jest nadto, że podziemia i szpary *Gotlandu* mają z morzem komunikacyą — i że się woda często kanałami takiemi w głąb' wyspy przedziera. I oto jest rzeczywista przyczyna fantastycznych cudów, jakie nam sagi ludowe opowiadają.

Cała jednak powierzchnia *Gotlandu*, oprócz tych wyjątkowych wyskoków natury i ciekawości geologicznych, jest płaszczyzną jednostajną i monotonną; nie przedstawia nam malowniczych krajobrazów, wzgórz, ni wąwozów, dolin uroczych; nieożywiona rzekami, zdrojami żadnemi niemal.

Na całej wyspie jedna jedyna jest tylko rzeczka, i to uboga w wodę, wysychającą nawet często, rzeczka *Gothems-Å*, która z kilku moczarów i jeziorek wewnętrznych odpływ nieregularny do morza stanowi. Wszelkie inne strumienie i odpływy są to zdroje podziemne, miejscami tylko przerywanemi widoczne i znane — nie wiadomo, skąd się rodzą i kędy pod ziemią do morza uchodzą. Takich jest bardzo wiele. Wody w ogóle tej siedmnasto milowej wyspy gromadzą się po większej części w pośrodku, w kilku niewielkich jeziorach i trzęsawiskach, moczarach, tak zwanych „*träsk*." Do takich „*träsk*," moczarów niedostępnych, często bezdennych, gromadzą się liczne, mało znaczne strumyki. Moczary te, jakoby gąbki wciągają w siebie, spijają wszelkie wody okoliczne i wytwarzają znów mgły gęste i regularne, które w połączeniu z mgłą morską dobroczynnie na urodzajność gleby tutajszej wapiennej wpływają.

Zauważyć tu należy, że ziemia tutajsza jest czysto wapienna; wapienne jej skały i pokłady kredowe wciągają potężny nadmiar wilgoci i mgły morskiej, neutralizują takowe, a wytwarzają wspomniane już zdroje wewnętrzne, które wracają morzu, co z morza wzięte nad miarę.

Gleba wyspy, jakkolwiek pokryta pokładem wapiennego łomu, tak zwanego *kalkklaper*, jest mimo to najurodzajniejszą w całej *Skandynawii* i czyni z niej prawdziwie wyjątkowy ogródek i niemal spichlerz szwedzki. Jest to rodzaj gleby zupełnie wyjątkowej, bogatej i wdzięcznej, a odrębnym klimatycznym warunkiem bytu uposażonej; rodzaj gleby i rodzaj klimatu, który *Gotlandyi* w Szwecyi nazwanie i znaczenie „*Madery północnej*" zjednał.

A bardzo też to jest wdzięczny tej północnej *Madery* Bałtyku ogródek uroczy; klimat w nim wyjątkowy, mgłami żywiony i neutralizowany, równa się zupełnie tak w płodach, jak atmosferze, klimatowi naszemu wielkopolskiemu, który w tej wyżynie południowym się już niemal wydaje. Bogate łany pszenne imponująco tu wyglądają, w porównaniu zwłaszcza ze skąpym zbiorem a ubogą kulturą szwedzkich i finlandskich zagonów; — to iście pszenica nasza — łan polski i kłosy nasze bogate! Piękne lasy odznaczają się znakomitym budulcem, a nietylko sosny, świerki, dęby, lipy i klony szwedzkie, ale olbrzymio rosną nieznane już indziej w północy buki kolorowe, orzechy i wonna nawet akacya — a nieznany i niesłyszany w okolicach *Stockholmu* pieśniarz wioskowy, słowik, czuje się tutaj doma u siebie, wesoło w gajach pieśni zawodząc.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Woltyżerka.

Komedya w jednym akcie

przez

Emila Pohl'a.

SCENA IV.

CEZAR. ENGELHARD.

ENGELHARD.
(*w zwyczajnym ubiorze myśliwskim, z fuzyą i torbą.*)

Dobry wieczor, Cezarze.

CEZAR (*sucho.*)

Dobry wieczor.

ENGELHARD (*odkładając kapelusz i przybory myśliwskie.*)

Wybacz późną wizytę. Polowałem tu w blizkości całe popołudnie i nie udało mi się zabić nawet marnego wróbla. Naraz napadł mnie wściekły głód i pomyślałem: idź do Cezara, zjedz z nim spokojnie kolacyą i wypocznij kilka godzin.

CEZAR (*oburzony.*)

Prześlicznie. Kilka godzin? Jesteś bardzo łaskaw — lecz podobnego poświęcenia nie mogę wcale wymagać.

ENGELHARD.

Zaraz pomyślałem, że ci tem sprawię przyjemność. Widujemy się przecież tak rzadko. (*ogląda się.*) A jakże tu miło, jakżeż stół zastawiony apetycznie. Pozwolisz, że cokolwiek przekąszę, zanim podadzą kolacyą. (*siada przy stole.*)

CEZAR (*przeszkadzając mu.*)

Nie tutaj, drogi przyjacielu — nie psuj harmonii wykwintnie zastawionego stołu.

ENGELHARD.

Wybacz, teraz dopiero widzę, że jesteś we fraku. Zapewne oczekujesz gości. Jestem więc tutaj zbytecznym.

CEZAR (*szybko.*)

Jakto, już chcesz odchodzić? Na to nie mogę pozwolić. Jednakże... jeżeli przy tem obstajesz — (*podaje mu kapelusz i myśliwskie przybory*) Oto są — do widzenia, drogi przyjacielu. Odwiedź mnie niezadługo.

ENGELHARD (*zdumiony.*)

Jeżeli tak sądzisz? (*odbiera machinalnie kapelusz i fuzyą.*) Jeżeli tak sądzisz? Lecz o ile sobie przypominam, nie wspomniałem ani słówkiem o odejściu.

CEZAR.

Nie mówiłeś nic o tem, przyznaję, lecz zrobiłeś taki ruch, że myślałem....

ENGELHARD.

Po prostu zdawało ci się. (*odkłada kapelusz i myśliwskie przybory.*) Zostaję.

CEZAR (*do siebie.*)

Zostaje.

ENGELHARD
(*zbliża się do niego i chwyta za guzik jego surduta.*)

Cezarze!

CEZAR

No, cożż takiego?

ENGELHARD.

Dajmy pokój na chwilę wykrętom i kłamstwu i pomówmy otwarcie.

CEZAR.

Ale coż znowu.

ENGELHARD (*grożąc żartobliwie,*)

Nie wykręcaj się.

CEZAR

Prawda, przeszkadzasz mi. Nie bierz mi tego za złe.

ENGELHARD.

Chcesz więc coś złego popełnić?

CEZAR.

Skąd na taką myśl wpadasz?

ENGELHARD.

Bo w przeciwnym razie byłbyś powiedział: kochany Engelhardzie, oczekuję gości, albo gościa; wreszcie krótko i zwięzłowato powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć?

CEZAR.

Tajemnica.

ENGELHARD.

W którą się wkradać nie chcę, bo sekretu długo utrzymać nie mogę.

CEZAR.
To prawda, niestety!

ENGELHARD.
Jeżeli umiem szanować twoję tajemnicę, uszanuj ty moje uczucia. Pójdę, ale daj mi najpierw co zjeść.

CEZAR.
Niechaj i tak będzie. Siadaj przy tym stoliku, przyniosę ci, czego zażądasz.

ENGELHARD *(siada przy bocznym stoliku.)*
Widziałem tam wielce obiecującą włoską sałatkę. —

CEZAR *(podaje mu.)*
Oto masz — jedz tylko szybko.

ENGELHARD.
Kilka grzanek i cokolwiek kawioru.

CEZAR.
(biegając tam i napowrót po żądane przekąski.)
Tu są. *(po stronie.)* Jeszcze muszę mu usługiwać.

ENGELHARD.
Podaj mi kawioru, aniołku, i kieliszek wina, mój ty Ganimedzie — a potem kawałek sera i odrobinę masła.

CEZAR.
Otoż tu jest wszystko.

ENGELHARD.
Nie zapomnij o winie.

CEZAR.
Masz całą butelkę.

ENGELHARD.
To chwilowo wystarczy. Jedna butelka będzie pewnie dosyć.

CEZAR *(patrzy na zegarek.)*
Czy nie byłoby lepiéj, abyś poszedł teraz zaraz i zabrał z sobą przekąskę i wino na drogę?

ENGELHARD *(zawsze spokojnie.)*
Nie, nie byłoby lepiej. Jesteś naiwnym tyranem. Jedenaście godzin byłem na nogach i teraz nie pozwalasz mi spokojnie zjeść. Z tego nic nie będzie.

GEZAR *(wybuchając.)*
Doprowadzasz mnie do rozpaczy twoim spokojem. Muszę koniecznie pozostać sam.

ENGELHARD.
Nie wzrusza mnie to zupełnie. Dla czego masz przede mną tajemnicę...

CEZAR.
Kiedy ci mówię.

ENGELHARD *(przeżuwając.)*
Nie przeszkadzaj mi w jedzeniu.

CEZAR.
Posłuchaj mnie tylko.

ENGELHARD.
Jak się najem Daj mi pokój, nie mówię z tobą wcale.

CEZAR.
No, to jedz dalej w imie Boże. *(wyjmuje zegarek i mówi do siebie.)* Oznaczona godzina mija, gdyby teraz nadjechała, ów papla rozniosłby to po całej okolicy.

ENGELHARD *(do siebie)*
Wyborna sałatka.

CEZAR.
Czy skończyłeś?

ENGELHARD.
Ale gdzież tam, zaledwo zacząłem.

CEZAR *(rzuca się na sofę.)*
Straszny człowiek.

ENGELHARD.
Zrobiłbym ci pewną propozycyą. Odejdę i to zaraz, jeżeli mi powiesz, dla czego chciałbyś się pozbyć zgłodniałego przyjaciela. Czy zgadzasz się na to?

CEZAR.
Nie.

ENGELHARD.
Widzisz, to mi się u ciebie podoba. Mógłbyś mi w każdym razie coś nakłamać. Powiadasz otwarcie: „nie.“ To jest po męzku, mogę cię tylko pochwalić.

CEZAR *(niecierpliwie.)*
Jedz tylko, jedz.

ENGELHARD.
Jeść za prędko jest niezdrowo, mówi doktór Wipler. Znasz go przecież. Leczy głównie stare damy, pomiędzy innemi znaną starą pannę z naszego sąsiedztwa, o której chodzi pogłoska, że lubi tylko trzy rzeczy: tabakierkę, mopsa i koniak. Doktor ów był przez pewien czas moim lekarzem domowym, ale byłem dlań zanadto zdrów nie mógł mnie dostać do łóżka, dla tego nie wrócił więcej. Zresztą doktór jest bardzo rozmowny — cokolwiek starej daty — ale żył wiele i opowiada bardzo zajmująco. Czy nie uważasz także tego?

CEZAR.
Tak, tak, uważam wszystko, co chcesz. *(do siebie.)* Oszaleć można!

SCENA V.

Ciż sami, OTON *(wchodzi szybko z lewej strony.)*

OTON.
Panie baronie, posłaniec.

CEZAR *(do siebie.)*
Jaka szkoda, nie przyjedzie *(głośno.)* Czy posłaniec z miasta?

OTON.
Nie, od matki pana barona. Otoż jest list — musi być coś pilnego.

CEZAR.
Daj szybko. *(czyta z wzrastającym niepokojem.)*

ENGELHARD *(pije.)*
Wino znakomite. Jeżeli szampana porównywają do zajmującego salonowca, podług mnie bordeaux jest prawdziwie przyjemnym towarzyszem.

CEZAR.
Fatalnie. Muszę natychmiast wyjeżdżać. Niechaj Franciszek zaprzęże do kabryoletu.

OTON.
Nie potrzeba. Jaśnie pani przysłała po jaśnie pana.

CEZAR
Nie wpadł przecie w nasz dół.

OTON.
Na szczęście stangret stanął na szosie u bramy ogrodowej.

CEZAR.
Na szczęście.

OTON.
Pan baron może zaraz odjeżdżać.

CEZAR (*po cichu do Otona*)

A cóż się stanie z nią? Jak my to zrobimy, Otonie?

OTON.

Z tą damą, która ma wywrócić? Biedne dziecię, któż je wyratuje?

CEZAR (*do siebie.*)

Jeżeli odważy się na tę awanturkę, a mnie nie będzie o oznaczonej godzinie, nigdy mi tego nie przebaczy.

OTON.

Nie mogłbym może ja wystąpić w roli tymczasowego wybawcy i zatrzymać ją tutaj, aż pan baron nie wróci?

CEZAR.

Będę zmuszony kilka dni, a w każdym razie tę noc zabawić na zamku. Zdarzyło się tam coś ważnego — niespodziana wizyta — (*spogląda na Engelharda, który właśnie powstaje.*) Poczekaj, już mam. Zanieś palto do powozu, zaraz sam przyjdę. (*Oton wychodzi na lewo.*)

CEZAR.

(*do Engelharda, który wziął kapelusz i fuzyą i zabiera się do wyjścia.*)

Jakto, już odchodzisz?

ENGELHARD.

Dziękujesz przecież wszystkim Świętym, że wreszcie odchodzę. Bywaj zdrów, mój bracie, przeczytaj sobie wszystkie dzieła o ludach pustyni i ich gościnności. (*Chce odchodzić.*)

CEZAR (*zatrzymując go.*)

Zostań, Engelhardzie, proszę cię, zostań. Musisz zostać. Musisz mi wyświadczysz wielką przysługę.

ENGELHARD.

Z największą chęcią, jeżeli będę mógł.

CEZAR (*żywo*)

Posłuchaj mnie. — Mogę ci tylko w ogólnych zarysach rzecz przedstawić. Muszę natychmiast odjeżdżać na zamek. Moja matka oczekuje przybycia baronównej Nietoch, z którą mam się żenić.

ENGELHARD.

To coś noweg dla mnie. (*Serdecznie mu rękę ściskając.*) Przyjmij moje życzenia. Nie znam baronównej, ale ma być ładna i przyjemna.

CEZAR.

Ładna — tak sobie — przyjemna — być może. Mało „piquante,“ mój drogi, jest to sobie spokojny, mdły, nudny wieczor wiosenny, cokolwiek mgłą owiany, ale przede wszystkiem bogata.

ENGELHARD.

A więc jest to modna partya finansowo-melioracyjna. Wstydź się, Cezarze.

CEZAR.

Bez morałów, proszę cię. Nasi krewni to ułożyli. Życia użyłem, gospodarowałem bez rachuby — rozumiesz mnie —

ENGELHARD.

Nie, tego nie rozumiem.

CEZAR.

Człowieku, raz trzeba się ustatkować i ożenić się.

ENGELHARD

Masz moje błogosławieństwo. Życzę ci żony z silnym charakterem i zdolnościami wodza.

CEZAR.

Nie przerywaj mi, czas ubiega.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRYTYCZNY POGLĄD
na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Kosztski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 15.)

Wszelkie konserwy mleczne, przyrządzone z domieszką węglanu sody, boraksu, kwasu salicylowego, borowego itp wyrobów chemicznych, mających powstrzymać rozkład mleka i jego zsiadanie się, również poleconemi być nie mogą.

Pominąwszy już tę doniosłą przyczynę, iż owe dodatki smak mleka znacznie przeistaczają, uwzględnić nam wypada koniecznie to, że one nie mogą być dla ustroju niemowlęcia zupełnie obojętnemi, zwłaszcza, gdy dlań wyłączne tylko stanowią pożywienie i złe ostatecznie muszą mieć skutki. Tylko te wyroby mleczne, które bez domieszki cukru i chemikalii z czystego, dobrego mleka przyrządzono i przechowano (t. n. Milchpräserven), które smaku, koloru, zapachu świeżo zagotowanego mleka nie straciły i które od rozkładu i mikroorganizmów zabezpieczono, stanowić mogą owo tylko w z a s t ę p s t w i e wybrane pożywienie niemowląt w pierwszych dniach i miesiącach ich życia, i to jeszcze tylko wtenczas, gdy o mleko świeże z znanemi nam już przymiotami w żaden sposób postarać się nie jesteśmy w stanie. W wspomnianych powyżej konserwach i prezerwach mlecznych nie napotkaliśmy domieszek mącznych. Nim się tedy zapoznamy z tym rodzajem sztucznych pożywek dla niemowląt i dzieci od lat dopiero kilku zestawionych i w świat daleki wysełanych, wypada nam choć w kilku tylko słowach wspomnieć o sprawności śliny w ustach niemowlęcia. W pierwszych sześciu, lub ośmiu tygodniach jego życia nie jest wprawdzie ślina zupełnie niezdolną, aby mączkę w cukier zamienić, przecież przemiana owa odbywa się tylko słabo i wolno. Dopiero od trzeciego miesiaca życia niemowlęcia wpływ śliny jest wydatniejszy, a od dziesiątego odbywa się przemiana mączki w cukier z tą samą szybkością, co u osób dorosłych. Z tem zgadzają się wyniki spostrzeżeń, które poczyniono nad wpływem mącznych pożywek na rozwój i wzrost niemowlęcia. Prawie wszyscy badacze godzą się na to, że nie wypada zadawać niemowlętom pożywienia mącznego w pierwszych dwóch miesiącach, bo go nie strawią i nie zniosą i na siłach nic nie zyskają. Z prac i dochodzeń Solery*) nad działaniem fermentu śliny na różne rodzaje mączki dowiadujemy się, że nie wszystkie równie szybko w cukier gronowy się zamieniają i nierówną ilość tegoż cukru wydają. Mączka z kukurydzy (Maisstärke), najszybciej się zamienia w cukier i największą jego ilość wytwarza. Mączka ryżowa zamienia się w cukier najwolniej; szybciej mączka pszenna, a najszybciej kartoflana, za co przecież ostatnia najmniejszą ilość cukru ustrojowi niemowlęcia podawać zdoła.

Wracając do naszego zapowiedzianego zadania i sztucznych pożywek z mleka i mąki, rozpoczniemy opis ich wzmianką o mleku dla dzieci z mąką pszenną przez Ed. Loeflunda z Stuttgardu na wielkie rozmiary w fabryce hygienicznych preparatów mlecznych w Harbartzhofen w Bawaryi (Algäu) wyrabianem. Mleko to peptonizowane zawiera części pożywcze mleka i mączki w stanie rozpuszczonym, skłonnym do przyswojenia ich ustrojowi niemowlęcia, lub dziecka. Użycie wyrobu tego jest nader proste. Rozrzedza go się tylko gorącą wodą krótko przed użyciem i stanowi pokarm smaczny, trwały, a co nader ważne, w pewnych nieporządkach dróg pokarmowych dziecka ze skutkiem użyć się dający. Dr. Baginsky i inni bardzo korzystnie o tym wyrobie Loeflunda się wyrażają i polecają go tam, gdzie w ogóle o sztuczne pożywienie dla niemowląt w braku innego dobrego mleka chodzić będzie.

*) Solera: Esperienze comparative sulla diversa sacharifacibilita di alcuni amidi per la diastasi salivare. Pavia 1878.

Nim przejdziemy do wyłącznie mącznych wyrobów, służących jako sztuczne pożywki i powszechnie w postaci proszku w puszkach sprzedawanych, wypada nam jeszcze omówić trzy płynne, których nazwiska tak często po pismach się spotyka.

I tak pierwszem z nich jest t. n. mleko peptonizowane Voltmera z Hamburga. Powstało ono wskutek zaleceń Dra Pfeiffera, który starał się ułatwić niemowlętom i dzieciom trawienie mleka krowiego, za pomocą soku z trzustki (Pancreasferment) i takowe choć na czas krótki zachować.

Mleko Voltmera, w trzech gatunkach i to odpowiednio do wieku małych konsumentów sporządzone, nie znalazło dotąd wielu zwolenników Płyn ten nie trzyma się długo i łatwo ulega zepsuciu. Z badań Schäffera dowiadujemy się, iż w t. n mleku Voltmera mnóstwo znajduje się drobno-widzowych ustroi (mikroorganizmów), które, do żołądka i kiszek wprowadzone, na ustrój niemowlęcia szkodliwie oddziaływać muszą. (C. d. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Alexandra Faucher, wdowa po francuzkim ministrze spraw wewnętrznych, L e o n i e F a u c h e r, przysposobiła do druku trzecie wydanie życiorysu swego pełnego zasług męża. Dzieło obejmuje dwa tomy; w pierwszym zawarty jest właściwy życiorys byłego deputowanego, ministra i znakomitego publicysty francuzkiego, w drugim jego mowy parlamentarne i korespondencye. Zajmującemi i ciekawemi są dla nas w dziele tem francuzkiem ustępy, opisujące powołanie wieszcza naszego, Adama Mickiewicza, na świeżo właśnie za staraniem hr. Montalemberta i ks. Adama Czartoryskiego utworzoną katedrę języków i literatur słowiańsk ch w *College de France* r. 1840. Między innemi przytoczone są listy Leona Faucher i ówczesnego ministra oświecenia, Wiktora Cousin, do naszego poety, w owym czasie profesora literatury łacińskiej w Lauzannie, pragnącej usilnie zatrzymać Mickiewicza na powierzonem mu stanowisku.

Interesujący zawsze muzykalną publiczność polską Józio Hofman opuścił Warszawę i udał się na dłuższy pobyt do Eisenach w Turyngii, gdzie, wypocząwszy, rozpocząć ma studya muzyczne pod kierunkiem p. Eugeniusza d'Albert'a. Dopiero na święta Bożego-narodzenia ma młodziutki artysta zawitać na nowo do Warszawy.

Warszawskie stowarzyszenie muzyczne „Lutnia“ w ilości 50 członków odbyło wycieczkę do Częstochowy, gdzie dało z wielkiem powodzeniem koncert na rzecz tamtejszej straży ogniowej.

W Londynie w *Princes Hall* zaprowadzono nowy instrument muzyczny, nazwany „klawiharfą.“ Wynalazcą jego jest p. Dietz z Brukseli. Próby z świeżo wynalezionym instrumentem pod każdym względem zadowoliły znawców.

Znany w świecie muzycznym artysta-kompozytor, p. P a d e r e w s k i, wydał w ostatnim czasie opusu 14-go zeszyt drugi, obejmujący trzy nowożytne humoreski: „Burlesque,“ „Intermezzo Polacco“ i „Krakowiaka h-dur,“ drukowanego także w warszawskiem „Echu muzycznem,“ a uważanego powszechnie za najlepszą z trzech wymienionionych kompozycyi. Nadto tegoż autora wyszły świeżo z druku „Cztery pieśni“ z polskim i niemieckim tekstem. Znawcy przyznają wśród nich pierwszeństwo pieśni N. 3, p. n. „Szumi w gaju brzezina“ — Również nowemi kompozycyami, „Krakowiakiem“ i „Polonezem“, obdarzył nas p. P a w e ł R o m a s z k o. Dalej p. M a r y a n S o k o ł o w s k i wydał dwa zeszyty „Tańcy hiszpańskich“ na 4 ręce. Wreszcie zapisujemy nowy utwor do śpiewu p. t. „Piosenka z ogródka“ (opus 10) w trzech kupletach, stanowiących jednę całość — pana J a n a G a l l a, exdyrygenta lwowskiego „Towarzystwa muzycznego“, obecnie profesora konserwatoryum.

W „Salonie“ paryzkim wystawione są następujące obrazy naszych artystów: „Krwawy dramat w Rogoźnie“ G e r s o n a, przedstawiający śmierć króla Przemysława z ręki mordercy, wysłanego przez margrabiów brandenburskich; J a n a S t y k i dwa portrety na jednem płótnie: jego własny i młodej małżonki artysty; portret podeszłej w latach p. E. M., wykonany przez p. A n n ę B i l i ń s k ą. Dalej zwracają uwagę obrazy: „Ewa, zrywająca jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego“ pana P r z e p i ó r k o w s k i e g o; „Lato“ i „Poranek w okolicach Paryża,“ dwa piękne krajobrazy p K a r b o w s k i e g o; „Mglisty poranek w południowej Francyi“ p. G ą s o w s k i e g o. Wystawili jeszcze prace swoje artyści nasi: p. K r z e s z, młody malarz z Krakowa, uczeń mistrza Matejki, p. A x e n t o w i c z, uczeń szkoły monachijskiej, hr. M n i s z e c h, pp. W i t k o w s k i, R o s z c z e w s k i, S a w i c k i i pani S z e l i g a.

Z zakresu rzeźby na pierwszem miejscu postawić należy p. G o d e b s k i e g o dwie wspaniałe grupy z marmuru kararyjskiego: „Geniusz w zapasach z siłą brutalną“ i niejako *pendant* do niego: „Tryumf geniusza.“ Znalazły tu jeszcze pomieszczenie rzeźby: panny C e r t o w i c z ó w n e j i pp. M a r c i n k o w s k i e g o, B a r ą c z a, W o y d y g i i K o s s o w s k i e g o.

ROZMAITOŚCI.

Jakiś nieznany autor dołączył do pism lwowskich list otwarty, obejmujący oryginalny zaprawdę wniosek, aby zamiast pomnika postawić na cześć wieszcza Adama bursę jego imienia dla niezamożnych uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego. Dobrze, że się autor wniosku zamaskował!

Warszawa rozbrzmiewa obecnie oburzeniem z powodu, jak się jedno z tamtejszych pism wyraża, „zamachu na salon letni“ czyli ulubiony ogród Saski, ów „zbiornik zdrowego powietrza,“ „klejnot miasta i płuc miejskich.“ Powstał projekt, aby z powodu dogodniejszej kanalizacyi stolicy przedłużyć ulicę Marszałkowską, przeprowadzając ją przez ogród Saski do placu Bankowego. W tym celu potrzebaby odciąć część pięknego ogrodu, o czem myśl sama wznieca oburzenie i trwogę w tysiącach zwolenników, a mianowicie pięknych i strojnych zwolenniczek „salonu letniego.“

Daleką wycieczkę, bo do Palestyny, przedsiębiorą akademicy charkowscy pod przewodnictwem kilku profesorów uniwersytetu w celu poznania pamiątek ziemi św. — W powrocie zamierzają także wspólnie zwiedzić starożytną ojczyznę piramid i obelisków — Egipt.

Promyki.

Jednem z najmilszych uczuć szlachetnego serca jest r o z s i e w a ć s z c z ę ś c i e w o k o ł o s i e b i e, uszczęśliwiać — ile w mocy naszéj — tych, co nas otaczają.

Gdy smutek i tęsknota dręczą serce, najlepszem lekarstwem jest *modlitwa i praca.* Praca rozrywa myśli, modlitwa spokój w nie wlewa.

Kto chce być skromnym w postępowaniu, winien przede wszystkiem skromnym być w mowie. Słowo przysposabia czyn.

Nauka — jak ogień — oświeca i czyści.

Lżejszy każdy ciężar, gdy go można z kim podzielić.

Rady udzieli każdy; pomocy i pociechy ten tylko, kto kocha.

Miłość prawdziwa w czynie się objawia i prowadzi do czynu. Miłość bez czynu jest samolubstwem. K. Libelt.

Najlepszą wodą odmładzającą i upiększającą człowieka jest.... *szczęście.*

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.